

Władysław Korowajczyk



Nazywam się Władysław Korowajczyk, urodziłem się w 1934 roku w Wilnie, Wbrew temu co jest napisane w dowodzie osobistym nie urodziłem się w Związku Radzieckim ale urodziłem się w Rzeczypospolitej Polskiej,

P. Twoi rodzice – Leonard Korowajczyk i Halina Korowajczyk wadgrywali znaczną rolę w intelektualnym środowisku Wilna może zechciałbyś powiedzieć parę słów nt pochodzenia rodziców ich pracy w środowisku wileńskim o ich poczynaniach, ponieważ to w jakiś sposób rzutowało na ich dalsze losy.

O. O jeżeli chodzi o historię moich rodziców to jest ona zagnatwana i pokrętna, tak jak historia wielu Polaków z tamtego okresu. Chodziło oczywiście o moich dziadków, których losy porzrzuciły po Europie i po Azji. Ojciec mój urodził się na Syberii, gdzie jego rodziców los wygnał na Syberię. Dziadek mój pochodzący spod Myszagoły musiał wyjechać ze swoich stron rodzinnych, podobnie jak i rodzice mojej babki Kontrymowicz również musieli wyjechać na przymusowe osiedlenie na Syberii. Tam się moi dziadkowie poznali, pobrali i z tego małżeństwa urodziła się trójka dzieci Leonard, Regina i Gertruda. Na Syberii powodziło im się dobrze, bo dziadek przystosował się dość łatwo i zdobył intratny zawód maszynisty kolejowego na kolei transyberyjskiej. Mieli dwa domy, a poza tym musiał to być chyba nieprzeciętny człowiek, bo jako maszynista interesował się astronomią i na strychu własnego domu zbudował obserwatorium astronomiczne, kupił lunetę i obserwował to, co się dzieje na nieboskłonie. Tą pasją zaraził swego syna a mego ojca Leonarda, co odbiło się na jego zainteresowaniach. W roku 1922 po różnych perypetiach wojennych, rewolucjach kontrrewolucjach, wojnach domowych, rzeziach pożarach

rodzina Korowajczyków wróciła do Polski. Nieszczęściem spotkało ich dosłownie u wrót Polski. W Mińsku umiera mój dziadek Władysław na tyfus. Moja babka Weronika z trójką nieletnich dzieci wylądowała w Wilnie. Była to kobieta, która nigdy w życiu nie pracowała i nie umiała sobie poradzić. W tej sytuacji mój ojciec Leonard mając wówczas 15 lat wziął na swoje barki utrzymanie rodziny. Zaczął pracować początkowo jako goniec, ale szybko się zorientowano w tej firmie, że jest to chłopak o nieprzeciętnych zdolnościach i błyskawicznie awanował na pracownika umysłowego. Jednocześnie pracując uczył się i zdał maturę w 1928 roku. W tym samym roku zapisał się na matematykę Uniwersytetu im. Stefana Batorego w Wilnie. Dlaczego matematyka? Dlatego, że była to jakby wstępna faza do astronomii. O astronomicznej pasji już wspominałem.

Dzieje mojej matki były też dosyć podobne. Jej rodzice, a moi dziadkowie zostali wygnani przez los na Ukrainę, tam poznali się, pobrali i w roku 1922 przyjechali do Polski i zamieszkali w Biłgorzku. Tutaj matka moja w 1928 roku zdała maturę w Gimnazjum im. Anny z Sapiechów Jabłonowskiej i następnie zapisała się na uniwersytet im. Stefana Batorego w Wilnie, gdzie studiowała polonistykę. Gdzieś ok. roku 1930 mój ojciec i matka poznali się ~~na~~ na terenie Uniwersytetu i zaczęła się ich wielka miłość niestety dość krótkotrwała. W owym czasie życie akademickie USB było burzliwe i interesujące. Oczywiście nie znam tego osobiście, ale z opowiadań różnych relacji, publikacji, oraz z zachowanych listów, które mamy w domowym archiwum można wyrobić sobie pogląd jak wyglądało owo życie. Krzyżowało się ono w wielu płaszczyznach. Klub Włóczęgów, który prowadził Wacław Korabiewicz przezywany "Kilometrem" włóczył się po rojstach, puszczech wileńskich

ale nie były to tylko czeże wędrówki, w czasie tych wędrówek ścierały się różne poglądy polityczne nieraz krańcowe od skrajnej lewicy, po skrajną prawicę. Tam kształtowały się umysły przyszłych polityków, których wielu dosyć negatywnie zapisały się w naszej historii, ale były też i postacie pozytywne. Klub intelektualistów skupiał w swym gronie wielu młodych studentów, którzy zazwyczaj dyskutowali różne tematy. Bardzo aktywnie działało koło polonistów, a poza tym słynne chyba na całą Polskę środy literackie, które odbywały się w celi Konrada OO Bazylianów. Legenda głosiła, że w celi tej przebywali m.in. Mickiewicz po aresztowaniu Filomatów i Filaretów, przed wywózką do Rosji. Przez celę Konrada przewijało się wielu wybitnych indywidualności intelektualnych z całej Polski. Sądzą, że nie było znaczącej osoby w naszej nauce, literaturze, kulturze, któraby nie wygłosiła odczytu w tych starych murach klasztoru OO Bazylianów. Ale chyba największą pasją mego ojca było Stowarzyszenie Młodzieży Akademickiej. Odrodzenie tam również ścierały się różne poglądy. Kapłanem tego Stowarzyszenia był ks. Walerian Meysztowicz, który prowadził młodzież akademicką ku określonej celowi. Na płaszczyźnie Odrodzenia ścierały się dwie wielkie indywidualności ks. Waleriana Meysztowicza i Henryka Dębińskiego, Henryk Dębiński jak prezesa Odrodzenia. Henryk Dębiński jak słyszałem był to człowiek o dużym intelekcie, znakomity mówca z ogromnym charyzmatem. Niestety z biegiem czasu jego poglądy stawały się coraz bardziej lewicowe i w końcu zszedł na drogę komunistyczną wiążąc się z tym ruchem. Pociągnął za sobą pewną grupę studentów wśród których był m.in. również Jerzy Putrament.

P. Jędrychowski chyba także ?

O. Jędrychowski owszem był związany z ruchem komunistycznym, ale czy występował w procesie takim dość znanym z 1937

był skazany trudno mi powiedzieć. Jako ciekawostkę mogę przytoczyć fakt, że we wstępie do "Pism wybranych" Dębińskiego Anna Jędrychowska podaje, że kontakty między komunizującymi jeszcze grupami młodzieżowymi z Dębińskim na czele a centralą warszawską miał nieznanego z nazwiska człowiek, który krył się pod pseudonimem Doktor, był to prawdopodobnie Paweł FINDER. Losy Dębińskiego, który zszedł na drogę komunistyczną były tragiczne, dlatego, że po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej w 1941 roku, został w pierwszych dniach złapany przez Niemców i rozstrzelany w jednej wsi poleskiej. Wracam jednakże do sytuacji, jaka zaistniała ks. Walerianem, a Dębińskim. Warto chyba przytoczyć powiedzenie, kiedy drogi tych wielkich indywidualności rozeszły się, że ks. Walerian Meysztowicz powiedział: "Czuję się, jak kura, która wysiedziała samolot". W tych kręgach obracali się mój ojciec i matka, która jednakże może mniej aktywnie uczestniczyła. Ze znanych nazwisk tamtych i dzisiejszych czasów obracał się Czesław Miłosz, prof. Stanisław Stomma, Antoni Gołubiew. Jako ciekawostkę można również przytoczyć, że ślub Antoniego Gołubiewa odbył się na tydzień przed ślubem moich rodziców. A ślub Leonarda Korowajczyka i Haliny Kuczyńskiej odbył się w dniu 17 lipca 1933 roku w kościele Akademickim św. Jana, a ślubu udzielił ks. ^{prof/} Henryk Chlebowicz duszpasterz akademicki. Muszę jeszcze wspomnieć, że ojciec nie miał warunków do studiów, musiał pracować. Pracował w Lidze Ochrony Powietrznej Państwa jako inspektor do zwalczania gazów bojowych. Miał bardzo wszechstronne zainteresowania i LOPP traktował raczej jako źródło utrzymania. Wynikiem pracy w tejże instytucji było wydanie w roku 1931, a więc wtedy, gdy miał 24 lata książeczki "Groza chmur" z własnymi ilustracjami. Broszura ta traktuje o skutkach, jakie niosła ~~wojna~~ I wojna światowa oraz przewidywania o ewentualnej wojnie lotniczej, która nastąpi w przyszłości. W roku 1939 wydaje swo-

ją książeczkę popularno-naukową o zasadach fizyki Newton'owskiej pt "Jabłko Newton'a". Przez cały ten okres jednocześnie współpracuje z różnymi pismami, ale nie jest to współpraca na zasadzie ciągłej tylko raczej ~~sporadycznej~~ sporadycznej. Związany był z "Żagarami", z "Ilustrowanym Kurierem Codziennym" z "Wiadomościami Literackimi" i innymi pismami". Niestety zawierucha wojenna zniszczyła wszystkie materiały i w tej chwili trudno o tym powiedzieć.

P.- Ojciec wygłaszał także pogadanki w radiu ?

O. Z listów, które zachowały się dowiedziałem się, że w 1939 roku zaczął wygłaszać pogadanki przez radio. Tytuł jednej z nich brzmiał "Lot przez Atlantyk". Treść oczywiście nie jest mi znana. Muszę troszeczkę wyskoczyć myślą do przodu. Ojciec w ostatnich dniach sierpnia został zmobilizowany jako porucznik rezerwy, a następnie dostał się do sowieckiej niewoli, do stał się do Kozielska i został zamordowany w Katyniu 30 kwietnia 1940 roku.

P. Skąd znasz dokładnie datę śmierci ojca ?

O. - Z publikacji ogólnie dostępnej, wspomnień p prof. Stanisława Świaniewicza, z książki "W cieniu Katynia" oraz w relacjach zawartych w innej publikacji pracy zbiorowej pt "Zbrodnia katyńska". Niedawno, w styczniu 1989 roku pewien fragment książki "W cieniu Katynia" ukazał się w "Tygodniku Powszechnym" i jest tam wspomniane nazwisko mego ojca. Mnie interesowała jednakże sprawa inna, głębszy podkład psychologiczny, jak doszło do wychowania takich oficerów, ~~jakimi~~ jacy znaleźli się w Kozielsku, Starobielsku, Ostaszkowie, co spowodowało, że ich los był tak tragiczny? O tym mogą świadczyć listy mego ojca ze szkoły podchorążych we Włodzimierzu Wołyńskim. Ojciec służbę odbywał w podchorążówce od sierpnia 1931 roku do sierpnia 1932 roku specjalizując się w artylerii przeciwlotniczej. O tym jak wyglądała służba wojskowa, jak wyglądał "dryl" wojsko-

wy, który w efekcie może nie był aż tak zły, skoro wychował wspaniałych ludzi, jacy później znaleźli się w szeregach kadry oficerskiej. Może dla przykładu przytoczymy tutaj kilka fragmentów listów mego ojca do matki ze szkoły podchorążych. Pierwszy list pochodzi z 15 sierpnia 1931 roku, ale dalej jest dopisana ręką matki data, widocznie nowa sytuacja w jakiej znalazł się sybaryta miejski i bardziej intelektualista, niż żołnierz uderzyła obuchem w głowę, tak że nie potrafił nawet odnaleźć w pamięci daty i ją pominął. Z innych publikacji wiemy, że do wojska został powołany w dniu 11 ~~sierpnia~~^{lipca} 1939 roku. Ale nim przystąpimy do odczytania listów związanych ze służbą wojskową warto tutaj przytoczyć jeden fragment listu ojca do matki z 6 lipca 1931 roku:

"...W powietrzu jest duszno i spokojnie. Cały świat ogarnia lenistwo i jakieś podświadome rozstępnięcie do niebytu.

Widziałem dzisiaj demonstracje bezrobotnych przed Województwem,

a następnie rozpędzanie tłumów przez policję, którą ten tłum obrzucił kamieniami. Przykre to było zjawisko, niewesołe i jakże wymowne w swojej proroczej grozie. To było oblicze komunizmu. Przed jego obliczem wszyscy stajemy biedni i bezradni. Czy my kiedykolwiek wydamy jemu walkę? A jeżeli wydamy czy zwycięsko wyjdziemy rozbrojeni z czołgów, a uzbrojeni w bardzo kruchą ideologię przesyta? To przykre refleksje, ale jakżeż można znaleźć się z tym wszystkim w szczęściu osobistym? Zaczynam coraz lepiej rozumieć Judyma."

I już listy z Włodzisława Wołyńskiego:

Świat, że dla charakteru, zowania atmosfery panującej w ówczesnym wojsku warto przytoczyć inne listy Leonarda Korowajczyka:

Kochana Halinko!

Przepraszam Ciebie bardzo, że tak milczę, ale chyba wybaczysz swemu zamazanemu rekrutowi to niedbalstwo, bo- wiadomo rekrut. Przecież to nie człowiek. Lecz nic w przyrodzie nie dzieje się bez przyczyny. Naprzód była ta: wsadzili mnie do artylerii polowej, a chciałem do ciężkiej, ponieważ zaś dyrektor nauk obiecał mi przenieść do baterji pałowej, więc oczekiwałem z dnia na dzień, że to się stanie a więc podawanie miejsca swego przebywania nie byłoby celowe. Obecnie zdaje się muszę z tego już zrezygnować, bo zaszyły pewne okoliczności, zmieniające zdaje się moją sytuację wbrew woli i chęci. Chodzi o to, że zdaje mi się, że wpadłem w łaski swego dowódcy. Powiadam, że zdaje mi się, a wogóle to mi się nie podoba, bo wogóle sytuacja takiego faworyta mi nigdy nie imponowała. Ale stało się to pomimo mojej woli i chęci, powtarzam. Wogóle opowiem Ci jak to było. O naszej czarnej robocie/Baczność!, Spocznij! Marsz! Bateria stój! Czwórki w prawo! Dwuszereg w lewo, W tył biegnij! i. t. d./ napiszę potem. Oprócz tego mieliśmy niby wykład o naszej szkole. Po prostu dowódca karał mi czytać/bo siedzę na pierwszej ławce-tak kazali niestety/ regulaminu szkoły. Czytałem to coś na 3-ch wykładach z rzędu. Na jednym z wykładów zaczął pytać kto ma skończone studia techniczne, kto humanistyczne, kto jest absolwentem gimnazjum i. t. d. Wszystko to kolejno wstawało z ławek. Ponieważ ja i tak stałem cały czas, więc w pewnym momencie zapytał mnie: a wy?- Absolwent matematyki-odpowiadałem. A on na to:"dno, -i to wiesz z takim podniesieniem głowy do góry-to wy może będziecie u nas prymusem?. Bo widzisz przed chwilą dopiero straszyl wszystkich, że tu dużo matematyki i dlatego pytał o radzaj studiów. W tem miejscu pomyślałem sobie, że już umarł w butach swoich artyleryjskich. Przestrzegano mnie aby nie wylać ze swojej mądrością, zachować ją na koniec-a tu masz. Ale to jeszcze nic. Na następny wykład przyszedł /a ja o jedno miejsce w bok się przesunąłem/ i szukał mnie /golone lby wszystkie są jednakowe/ i powiada: gdzieś mój profesor?. I teraz w baterji już mnie nazywają profesorem. Ale to jeszcze nic. Wczoraj dowódca kazał każdemu się meldować " dla bliższego zapoznania się". Mnie pytał o rozmaite rzeczy, między innymi wylały te gazy- /musiałem powiedzieć, że nic z domu nie otrzymuję, bo zapytał o to, lecz dla podtrzymania honoru powiedziałem, że staram się o wydanie książki- no i sprawa się wykryła/. Wówczas pan kapitan

już przewidział, że zrobię parę wykładów w baterji, parę odczytów dla szkoły i .. poza szkołą. Bo to, powiada dziedzina psia krew zaniedbana, trzeba to na kresach tę polskość trzymać trzeba i.t.d. Tak aj tutaj też powiedziałem sobie przeciągle: "No to już mnie nie widzieć baterji pac-owej, bo kapitan zapewne mnie nie puści-
wszystko na ^{te} wygląda. Jedyna pociecha, że zapisał sobie mię jako kandydata do artylerji przeciwlotniczej. Wogóle zaś jestem, jak widzisz, przegrany. Tak chciałem być na początku nic nie znaczącym, małym, skromnym człowieczkiem, by ewentualnie gdzieś, kiedy już zorientuję się w możliwościach, sobie tam na coś pozwolić. Takie wybijanie się od początku jest niezdrowe, odrazu ludzie patrzą się na takiego jak ja rżoga, a gdy mu coś się popsuje, to wszyscy mówią: Aa! i śmieją się. No, jakoś tam będę się trzymał.

Życie u nas jest morowe. Ganiają dużo, jeść dają jeszcze więcej, każą rano wstawać, wczesnie kłaść się spać, szybko wszystko robić, słuchać rozkazów i nic nie gadać. Cnąbią nas układaniem ubrania w kostkę i skaniem łóżek. Zwykle dzieje się tak, że po "starannem" urobieniu tej kostki przychodzi pan ogniomistrz - i po chwili wszystko fruwa w powietrzu. Łóżka także po powrocie ze śniadania znajduje się jak po trzęsieniu ziemi. Prezyrja musi być taka, jakby to nie było łóżko a figurka kubistyczna. Ale naógół jest wesoło. Dają bobu to dają: kapitan powiedział, że jest to najcięższa szkoła w Polsce a bractwo mówi, że nasza baterja jest najcięższa z całej szkoły. Mamy tu takiego ogniomistrza, który nas musztruje: jedno słowo - Himmelstes! Ot, daje bobu! Ale zato nasza baterja bodaj najlepiej stoi. Konandy muszą być wykonywane piorunen. Wszystko się robi biegiem, a kto nie daje Boże w marszu się uśmiechnie, lub będąc na baczność, się poruszy - koniec. Wystąpić! Biegiem dookoła baterji marsz! Wam wesoło w wojsku? Ja was rozweselę! Prędzej, prędzej, bo się spóźnicie! I dopiero chłop wyrwa dookoła kolumny ze stu drabów. Baterja w tył biegiem rozejść się! /Okrzyk: "baterja!" równoznaczny jest - "baczność"!/. W dwuszeregu biegiem chidzka! Szybkiem krokiem woky w tył rozejść się! Baterja! Czwórki w prawo! Dwuszereg w lewo! i.t.d. przez kilka godzin dziennie. Kości boją, mięśnie boją, artyleryjskie buty ciążą piekielnie, poci się człowiek też piekielnie. Ale to dopiero początek - od poniedziałku mamy jazdę konną, to dopiero człowiek się na żanie. Ogromnie się cieszę na taką perspektywę: nie poznasz mię na przyszły rok, będę takim drabem człowiekiem z kamienia czy żelaza, w którym niejakiemu sybaryty ani uncji nie zostanie. Dzięki tutaj o sybarytę, kiedy śpi się na

zwykłym sienniku, za poduszkę ma się worek, wązkiusz wypchany grubą słomą, ciąga się piekielnie duże i ciężkie buty, naszeruje się i wywija przez kilka godzin z rzędu. Z poobiedniej drzemki - wspomnienie tylko, najwyżej na wąskiej ławie szkolnej można przez parę minut swoje gnaty wyciągnąć. Jednym słowem spartański żywot w 100%-ach. Jam niczem tragarą portowy, dobrze że choć dają dużo, często i smacznie. Wybacz mi, ale doprawdy zapomnieliem o Twoich piernikach i dopiero dzisiaj zacząłem je jeść dalej to, co zacząłem w drodze. Z domu dali mi też jakichś miódników i kiełbasy - gdzieś to pleśnieje w walizie. Nie ma na to ani chęci ani czasu.

Jak jest parę chwil wolnych, to czym prędzej chce / się wyciągnąć na tej ławie i poleżeć: palcem w bucie nie chce mi się kiwnąć. To tak zawsze póki człowiek się przyzwyczai: pamiętam tak samo kiedyś bolały mi nogi po jeździe na łyżwach. A potem to już człowiek będzie Herkulesem.

Dzisiaj mamy święto. Prowadzili nas rano do kościoła. Po całym dniu wolny, więc siedzę cały czas i piszę listy. Po raz pierwszy zasiadłem do pisania listu, tam w domu już pewnie myślałem, że mię tutaj armata podstrzelika, albo w jakiej katastrofie kolejowej zginęłam. Jutro też mamy święto, bo niedziela, a więc gnaty naprawdę przez te dwa dni odpoczną.

Cóż ci więcej napiszę o swojej niedoli? Narazie to wszystko początki obijają jeszcze więcej dać tej skórce, a wólcen może więcej będzie do powiedzenia.

Przeszkadają mi tutaj pisać, gadają wszyscy o tem, że trzeba dużo listów pisać, a treść wszędy jest ta sama. Podróżują rozmaite projekty: pod kalkę, na powielaczku, na sekretnikach i. t. d. Biedni rekruci narzekają, że oni, każdemu jeden, który ma czas na uncje wymierzony musi pisać do wszystkich, którzy mają dużo czasu. Ot, gadają i przeszkadzają, więc chyba już muszą skończyć.

Mój adres: Rekrut z cenzusem Leonard Korowajowyk Szkoła Podchorążych
Rez. Art. Bateria 7 Włodzimierz

Twój Leonard x x x x x x x x x x rekrut z cenzusem

Moja Halinko!

Gdybym był w domu, byłbym ogromnie smutny, może nawet więcej niż ogromnie. Lecz tutaj nie mogę i nie mam prawa - i nie ma czasu. Skończył się oficjalny dzień pracy. Jesteśmy po rozkazie i po kolacji: na zegarze jest 20 minut po godz. 6-j. Siedzę na sali wykładowej i piszę. Gdy przychodziłem na salę siedzieli parę osób, przez okna wpadały blaski zachodzącego słońca i była cisza - względna. Czytałem Twój ostatni list, lecz go nie skończyłem, bo już na sali dużo ludzi i gwar, który przepędza wszelkie coś co się nazywa rozważaniem, zadumą, marzeniem czy jeszcze jakkolwiek... Zawsządy sypią się dowcipy, wybucha co parę chwil śmiech, po całej sali z końca w koniec rozlegają się wykrzykiwania i. t. d. I gdzież tu można coś powiedzieć dla swojej dziewczyny - nie można. Nie bądź surową Halinko i zrozum moje warunki przebywania: już Ci nie potrafię napisać czegoś z chwili nastroju, czegoś takiego, co choć w części oddaje coś z głębi duszy czy serca. My tutaj serca nie mamy - nie ma na niego miejsca: są tylko krótkie chwile, wprost błyskawiczne jakiegoś wejrzenia wewnątrz siebie, ale wówczas akurat zamiast papieru listowego trzyma się w ręku uźdz końską lub kawałek armaty. A gdy właśnie przyjdzie wolna chwila - jak teraz - atmosfera otoczenia bezlitośnie niepozwala na jakąkolwiek nastrojowość. Wiem, że zdajesz sobie sprawę z tego, lecz piszę, by podzielić to i prosić Ciebie o wyrozumiałość. Widzisz, jak późno odpowiadam, a przecież od pierwszej chwili po przeczytaniu Twego listu przez te kilka dni w każdej wolnej chwili myślałem, że muszę Tobie napisać - i nie mogłem: nie jestem panem swego czasu, muszę go formalnie kraść: chowam się na ostatnią ławkę, siadam tam, gdzie najwięcej ludzi i wogóle używam wszelkich sposobów, by nie być zauważonym. Dlaczego tak się dzieje, dowiesz się z dalszego mego pisania.

Przedewszystkiem zacznę od chwaleń się. Otóż muszę powiedzieć, że awansuję b. szybko, i jeżeli tak dalej pójdzie, to Twój Leonard wróci do domu generałem. Kapitańskie łaski względem mnie poszły tak daleko, że /na okres zdaje się około 1 miesiąca/ mianował mnie "starszym klasy". Ponieważ z tej "pac-owej" baterji zrozumiałem, że masz słabe wykształcenie wojskowe, więc wytłumaczę Ci co to znaczy. Otóż cała baterja liczy 90 ludzi, podzielonych na 6 działonów na czele których stają "działonowi" będący przełożonymi pozostałych. Przedstawicielem zaś całej baterji wobec władz szkolnych i przełożonym na baterja jest "starszy klasy" ze swoim zastępcą. Starszy klasy jest bezpośrednim łącznikiem pomiędzy baterja a dowódcą i ma do niego wstęp w każdej chwili bez meldowania si

i rozkazy jego i zarządzenia są bezwzględnie obowiązujące dla całej baterji, jak zwykły rozkaz wojskowy i jest on wolny od takich obowiązków jak noszenie przyrzędów, ciągnięcie dział, zamiatania sali i.t.p. Spoczątku z tej nominacji byłem niezadowolony, lecz teraz pogodziłem się z losem, bo mam z tego niejakię też korzyści: instruktorowie - podoficerowie mają już jakieś takie poważanie, nie rugają mnie, jak innych, gdy coś źle zrobię w czasie ćwiczeń, nie dają karnych ćwiczeń i wogóle nadprogramowe "przyjemności" dotychczas mię nie spotkały. Wszystko razem wzięte wygląda, że na czysto "wygrałem", chociaż z drugiej strony mam poważne "honorowe" i odpowiedzialne obowiązki. Stanowisko moje też wykrada mi czas: np. przed tem jak zesiadłem do tego listu, miałem konferencję z dowódcą, nawet w dosyć poufnych sprawach: takie konferencje zdarzają się często. Jednem słowem, jak widzisz, Twój Leonard z punktu zrobił się grubą rybą.

Drugą rzeczą, która mi dużo czasu zabiera, to pomoc dla kolegów. Już tak starałem się nie wybijać się, nie mądrzyć się, siedzieć cicho, a jednak rox pepuli zaliczył mię do "tych cięższych" i posunął swoją egoistyczną, dobrze wykalkulowaną, skromność do tego, że siedziałem cicho, gdy wykładowca głupstwa plótł/a to bywa u nas! - wiadomo wojsko/ i baterja /szczególnie świeżo upieczeni maturzyści/ dyskutowała na tematy, które paru słowami potrafiłbym decydująco wyjaśnić. A pomimo to nie udało się i teraz jak wieczór, to atakują mię ze wszystkich stron, aby to czy inne, temu lub innemu i dziesiątemu wytłómaczyć. A już notatek swoich, to to wogóle nigdy na rękę nie mam. Ot, i teraz piszę list, a tu raz po raz: "Kolego Korowajczyk! Kolego Starszy! i.t.d. Temu wytłómaczyć, temu odpowiedzieć, innego poinformować - i tak aż do capstrzyku. Jaka kolosalna różnica, gdy w domu siedziałem.

.....

30.VIII

/niedziela/

Te kropki postawiłem z premedytacją: właśnie przy ostatnim słowie musiałem iść do kapitana i przeglądałem z nim aż do czasu kładzenia się do łóżek/godz. 8³⁰ wieczorem/: na następny dzień i do dzisiejszego ranka nie miałem ani chwili wolnej. Te kropki są najlepszą ilustracją warunków mojej pracy. W ten sposób mimowoli mój list przybiera charakter pamiętnika. A moja Halinka pewnie myśli, że z niedbalstwa czy ignorancji sobie nie piszę i pewnie już nie raz powiedziała: "jak tak, to tak - niech i on zaczeka na list!". Jeżeli tak zrobisz, to mię skrzywdzisz i to nawet bardzo, bo przecież liczę cały czas na to, że doskonale rozumiesz się w moją sytuację.

Wstaliśmy dzisiaj o godzinę później /t.zn. o godz.6-j/i zaraz wprowadzą nas do kościoła. Potem teoretycznie biorąc, cały dzień mamy wolny. Ale zaponniałem powiedzieć, o najważniejszym. Otóż zostałem mocno zachwiany na swoich wyżynach wojskowej kariery. Mówiłem Ci o swoim zmartwieniu, że nie trafiłem do baterji artylerji ciężkiej, tylko do polowej. Lecz nie wiem, czy opowiadałem, że prosiłem majora, aby mię przydzielił do pac-owej, że major sobie to zanotował i obiecał przenieść, gdy będą miejsca. Nie wierzyłem w skutek tej obietnicy. Lecz wczoraj przyszedł rozkaz o przeniesienie mię właśnie do tej baterji. Sama rozumiesz, że już teraz dla mnie to nie jest wygodne, bo tutaj w 7-j baterji mam ogromne fory i pędzą pański żywót. Ale najwięcej tem zmartwiony jest sam dowódca i robi wszystko, aby mię zatrzymać, wczoraj przez cały wieczór gadaliśmy i omawialiśmy sposoby, aby zmienić rozkaz. Ale w wojsku rozkaz-to wielka rzecz. Musiałbym już wczoraj być w tej 2-j baterji, ale kapitan na własną odpowiedzialność zatrzymał mię jeszcze przez dzień dzisiejszy w nadziei że da się coś zrobić. Bateria też zalewa się łzami na moje odjście. Będę czekał jeszcze przez dzień dzisiejszy, ale zdaje się, że sprawa jest dosyć beznadziejna. Więc widzisz, jak prędko kończy się moja karkołomna kariera - Twój Leonard i znów Będzie szarym żołnierzem, na którego będzie krzycał oficer, będzie ganiał podoficer i będzie wymyślał dowódca. Teraz to już zupełnie rozmyślnie nie wyślę Ci tego listu przed ostatecznem rozwiązaniem sprawy, która nastąpi dzisiaj wieczorem, a może i wcześniej.

Pisz, Koshana Halinko, mi swoje pamiętniki. Nie masz pojęcia, jak wielką rzeczą u nas tutaj jest list. Wieczorem przy rozkazie, gdy zwykle rozdaje się pocztę i jednego po drugim wywołują, wszystkich oczy są zwrócone na ogniomistrza z listami i każdy z zapartym tchem wążuchuje się, czy też jego nazwisko teraz nie padnie... W szeregu bez żadnego rugania i komendy, panuje taka cisza, jakby stało 100 trupów, a nie zamazanych i krzykliwych rekrutów. Trochę rozumiałem psychologię żołnierza na froncie i jego reakcję na "wiadomości z domu" i widzę jakim mądrym wynalazkiem były owe "siostrzyczki", które zajmowały się tylko korespondencją z żołnierzami, będącymi na froncie, zresztą zupełnie im nieznanymi. List w wojsku-to wielka rzecz, a tembardziej od swojej dziewczyny. Gdy otrzymałem Twój list był akurat pogodny, ładny wieczór. Siedziałem na oknie z tym listem i co któryć wiersz odrywałem się od listu i patrzyłem przez otwarte okno na dalekie wzgórza, lasy i ładny zachód słońca, myśląc, a raczej lecąc myślą do Ciebie i wracając wspomnieniem do tych przeszłych chwil. Rzadko bywam rozszargniony, lecz w tym wypadku zupełnie się nie spostrzegłem, że na dwa kroki odmiennie stał dowódca i od paru minut obserwował mię. Obudził mię z tego transu

swojem powiedzeniem: "cóż przyjemnie mieć listy?". Wydało mi się to takim nagłem, że zerwałem się z okna niemal z przestraszeniem i wyciągnąłem się w sznur, mówiąc bezmyślnie "przepraszam" /w wojsku się nie mówi "przepraszam"/. Porozmawialiśmy z nim przez parę chwil na rozmaite tematy wojskowe i pozawojskowe, poczem odszedł a ja dalej skwapliwie rzuciłem się na twój list. To była wielka frajda, jak Ty mówisz. A teraz boję się, żebyś źle sobie nie wytłómaczyła mego ociągania się z listem i ^{tak} teraz samo nie zwlekała z odpowiedzią przez tyle dni.

Zauważyłem dzisiaj ciekawą rzecz, będąc w kościele. Nie wiem, czy to ogólny skupiony nastrój, czy chwila naprawdę wolna, a najprawdopodobniej muzyka wprowadziły mnie w jakiś specjalny nastrój.

15 Włodzimierz Wołyński 22 września 1931

"... Gdyby Tobie nie zrobiliby specjalnych trudności to przyslij mi ze 20 złotych. Na przysięgę musimy sobie sprawić nowe skórkowe rękawiczki, czapki i ostrogi. Więc już teraz po trochu trzeba to spłacać. Wiesz, że bez ogródek użynomam się o pieniądze, ale nie ma innej rady. Napisałem do Wilna do swego jedynego dłużnika, ale już ze trzy tygodnie żadnej odpowiedzi nie mam, więc udaję się do swego Ukochanego kasjera, który nie umie puścić kapitału w obrót." ... "

Włodzimierz Wołyński 25 października 1931

" ... Nie mówię Tobie o najgłówniejszym. W ubiegłą niedzielę, to jest osiemnastego mieliśmy przysięgę. Maturę złożyłem też osiemnastego października. Na placu ćwiczeń była Polowa Msza, po czym wszystkie baterie, z palcami wzniesionymi do góry, przysięgały. Ja zaś, jako przedstawiciel swojej baterii, przysięgałem na ammatę postawioną na środku placu i ubraną w zielony. Po tem dali na placu obiad w czasie, którego fruwały w powietrzu wszyscy oficerowie, komendant Szkoły, starosta, i paru innych dygnitarzy. Po południu wypuścili wszystkich na miasto. I jak myślisz, co zrobisz? Nie poszedłem i siedziałem w baterii ... "

Tych kilka fragmentów chyba dobrze oddaje atmosferę, jaka panowała w ówczesnym wojsku. Jak już wspomniałem, rok 1933 był ważną cezurą w życiu Haliny Kuczyńskiej i Leonarda Korowa. Języka pobrali się i zaczęli wieść spokojne życie. Matka podjęła pracę jako nauczycielka w prywatnej szkole "Promień", ojciec dalej pracował w Lidze Ochrony Powietrznej Państwa. W roku 1934 urodziłem się ja. W listach następnych, których jest już stosunkowo niewiele, pojawiają się jakieś krótkie notatki o różnych ćwiczeniach wojskowych, które doprowadziły do uzyskania przez ojca stopnia podporucznika rezerwy ze specjalnością artylerii przeciwlotniczej. Tymczasem zbliżała się wojna, o tym jaka atmosfera panowała w domu przed wybuchem II wojny światowej, przed 1 września niech świadczy list, który pozwalam sobie przytoczyć. W tym czasie ojciec od kilku tygodni pracował już w Warszawie zajmując odpowiedzialne stanowisko a list, który przytaczam pochodzi z letniska na którym przebywaliśmy z zaścianka Spragielino, poczta Bezdany oddalonego od Wilna około 30 km:

Kochany Tatusiu !

Mam wobec Ciebie wyrzuty sumienia. Od Twego wyjazdu moja praca nie a nie nie posunęła się naprzód. Były straszliwe upały i może to jest do pewnego stopnia usprawiedliwieniem. Ale obiecuję poprawę i jeżeli nie jutro / bo jadę kisić ogórki/, to w środę praca moja wykona skok. Jeżdżę do Wilna i załatwiam sprawy. Dzisiaj był u mnie Skowroński. Jest prawie kategorycznie zdecydowany na powrót do Francji. Specjalnie go nie zatrzymuję. Kandydatek /niestety nie kandydatów/ zgłasza się mnóstwo. Będę wybierała. Może jakoś się w tej szkole ułoży. Ale, jeśli wybuchnie wojna zostaną tylko długi. Z Wilna przyjeżdżam trochę zmęczona, ale po kąpieli odżywam. Janka mówi, że trochę zmizerniałam na twarzy.

Władek ciągle Ciebie wspomina i wciąż wybiera się pisać do Ciebie. Ale wolę go nie męczyć. Ostatnio zaczął się poprawiać i ma lepszy apetyt, tak że chciałabym posiedzieć jeszcze trochę tutaj. Widzę, że tu teraz dopiero służy Orwidów. Narazie przerwę list, bo chce mi się spać. Jest godz. 10. Na dobranoc całuję mocno.

23.VIII.

Dopiero dzisiaj piszę dalej. Przez wszystkie te dni jeździłam do Wilna. Podróż w tę stronę jest dosyć przyjemna, ale z powrotem strasznie męcząca. W upał jazda torpedą jest okropna. Największą przyjemnością to po powrocie przebrać się i wykapać. W szkole podłogi wymalowane i robią się porządki, ale ciągle mam obawy, że lekcje się nie rozpoczną. U nas znowu zaczął się nastrój paniczny. Zresztą zdaje się, że nie tylko u nas. Ja na wszystko staram się patrzeć z rezygnacją. Zapasów narazie mam niewiele, ale jeśli wojna zatrzyma się do 1-go, zrobię więcej. Byłam u Maškowiaka, kupiłam 15.5 m flaneli, chciałam więcej, ale nie było, narazie od biedy wystarczy. Dałam zadatek na 10 kg miodu i nakisiłam 100 ogórków. Myślę poważnie o masce, poradź mi, co z tym fantem zrobić. Ze szkołą nie idzie wszystko jak należy. Skowroński jest zdecydowany na wyjazd do Francji, kandydatek na nauczycielki jest moc, ale dzieci zapisuje się niewiele. Przyszła się najmować nowa woźna, ale jak się dowiedziało, ile płacimy, chyba się nie najmie. Jednym słowem same kłopoty. Ale to wszystko głupstwo byleby nie było wojny. Cieszę się, że otrzymałeś pieniądze i wyrażam nadzieję, że coś niecoś mi z tego kapnie. Janka radzi mi, żebym Ci wypisała pokwitowanie na 100 zł, ale mnie się teraz nie chce zabawić

w głupstwa. W ub. piątek o godz. 14⁵⁰ była jedna Twoja pogadanka pt. "Lot nad oceanem" - trochę słuchałam. Zdaje się, że przedwczoraj była pogadanka druga, ale tej nie słuchałam bo byłam w Wilnie. Musisz "radiu" nawymyślać, bo zawsze mówią: pogadanka p. Leona Kor. Złoty Mój ! Przed chwilą przyszedł Biłat i mówi, że mobilizacja. Pojadę dziś do Wilna się dowiedzieć. Dla orientacji podaję do wiadomości, że jutro t. zn. w piątek do godz. 19⁵⁸ będę w Wilnie. Jeżeli przyjedziesz w innej porze, daj depezę.

Całujemy Ciebie serdecznie Hala.

Ja uważam, może już teraz przenieść się do Wilna ?.

Kilka słów komentarza do ostatniego listu. Flanela o której była mowa miała służyć na pieluchy dla mego brata, który miał się urodzić 19 stycznia 1940 roku. Nazwisko Skowrońskiego, który był nauczycielem w szkole "Promień", to nazwisko znanego po wojnie znakomitego polskiego aktora. Między datą 23 sierpnia a 1 dniem września w mojej pamięci rejestruję fakt nocnego przyjazdu ojca do Wilna. Zaczął się ogólny rozgardiasz i padło słowo mobilizacja, którego jeszcze wówczas nie rozumiałem, a którego sens miał wyjaśnić się w następne dni i lata. Ojciec został zmobilizowany i przebywał przez kilka dni na podwileńskim lotnisku Porubanek na stanowisku artylerii przeciwlotniczej. Wieczorami wpadał na krótko do nas, a w archiwach rodzinnych odnalazła się krótka kartka bez daty i miejsca z której została wysłana. Można wnioskować z niej, że już wybuchła wojna a anonimowość miejsca i daty wynikała z tajemnicy wojskowej. Oto treść tej kartki:

Kochana Halinko!

U mnie bez zmian. Przepraszam, że tak potrwa jeszcze jakiś czas. Trochę Was dzisiaj postraszyli rano! Nie bójcie się niczego - będą tak Was straszili jeszcze nie raz. Ale to nic groźnego. Ja też siedzę tutaj - jak u Pana Boga za piecem, bo mam betonowy . Przesyłam ten list przy okazji, może jeszcze nie raz będę w ten sposób dawał znać o sobie. W każdym razie na najbliższą przyszłość nic ciekawego się nie zapowiada, bo co musiało się stać to już się stało. Możesz mieć w pogotowiu kartkę dla mnie i przy następnej okazji łączności, który taką kartkę ode mnie Ci doręczy odwrotnie - doręczyć dla mnie.

Tymczasem całuję wszystkich, trzymajcie się mocno i nie bójcie się alarmów, Zresztą Twój spokój ducha znany jest w kraju i za granicą - więc chwalebę się tutaj wszystkim jaką mam "mężną żonę".

Leonard

Moi Kochani!

Wyjechałem szczęśliwie. Czuję się dobrze. Zesyłam ukłony i ucałowania. Trzymajcie się mocno i niczym się nie przejmujcie. Leonard.
3.IX.39 r. Wołkowysko
P.S. O pieniądze już napisałem do Warszawy.

Brześć 6.IX.1939r.

Kochana Halinko!

Nie mogę żadną miarą wybrać się do napisania dłuższego listu. Narazie kontentuj się kartkami. Mogę Ci już zakomunikować właściwy adres mój: Trauguttowo, Skrzynka pocztowa 35/XIII. Przypuszczam, że już jutro, pojutrze będę mógł zasiąść do listu - wtedy więcej napiszę. Tymczasem przesyłam tylko zapewnienie, że czuję się dobrze i bezpiecznie, czego i Wam wszystkim bardzo życzę. Całuję wszystkich.
Leonard

Brześć, 7.IX.39 r.

Leonard Korowajczyk
Trauguttowo k/Brześcia

Kochana Halinko!

W dalszym ciągu częstuję Cię kartkami. Ale trudną radą nie mam czasu. Czuję się b. dobrze, chociaż roboty mam strasznie dużo. Staram się pisać co dzień, abyś miała często wiadomości. Poprzednio podałem swój adres. Dzisiaj masz go znów na odrocie. Czekałem na jakiś list od Ciebie. Poste restante nie pisz, bo poczta takich nie przyjmuje albo niszczy. Napisałem list do Władków, aby zabrali moje ubranie z YMCA. Napisz Ty też ze swej strony - będzie pewnie: Napisz jak tam w Wilnie wszystko się miewa. Tylko nie podawaj żadnych wiadomości o charakterze że tak powiem wojskowym, bo nie wolno. Koperty również nie zaklejaj, albo tylko samym koniuszkiem. Nie mam wiele do pisania. Ty chyba więcej masz do powiedzenia, więc czekam z niecierpliwością. Czego mi brak - to kąpiel. Pogoda mamy piękną, ale może lepiej - by było, gdyby już były deszcze. Spieszę się na samochód. Piszę w urzędzie pocztowym. Jak będzie okazja, to jutro znów napiszę.
Całuję wszystkich Leonard .
P.S. Mam trochę pieniędzy. Czy mam przesłać?

Moi Kochani!

Piszę z pociągu, więc o podaniu własnego adresu trudno mówić. Jestem w drodze na południe. Czuję się dobrze no i rzeczywiście

jestem cały i zdrow. Trudno coś więcej napisać, chyba może tylko tyle,
że jestem nieogolony i trochę brudny - jak to bywa w podróży.
Przypuszczam, że wkrótce już będę mógł podać swoje miejsce pobytu
i staraj się otrzymać z domu kawałek listu. Całuję wszystkich Leonard.
14.IX.39 r. - nadano z pociągu Kustopol

Kochana Halinko!

Druga kartka z pociągu. Nie wiem gdzie się zatrzymam. Na razie jestem
zdrow i w świetnej formie. Przykro, że nie mogę dostać od Ciebie listu,
ale trudno. Miejmy nadzieję, że wkrótce podam swój jakiś adres.
Tymczasem ściska. i gorąco całuję. Leonard.
Zdołbunów, 14.IX.39 r.

Nadszedł dzień 17 września 1939 roku dzień, kiedy Rosja Sowiecka zrealizowała układ z Hitlerem, układ nazwany uprzednio Ribentrop - Mołotow a praktycznie układ Hitler - Stalin, nóż w plecy Polakom, to był ogromny szok.

Przez wiele tygodni nie mieliśmy żadnych wiadomości o ojcu. Po pewnym czasie zjawił się w domu żołnierz zwolniony z sowieckiej niewoli, żołnierz szeregowy i przyniósł kartkę. Niestety kartka ta nie zachowała się, ale kartka zachowała się w pamięci: "Obóz jeńców Szepietówka, ja tu ze Sławkiem jesteśmy cali i zdrowi." Ja to oczywiście ojciec. Sławek to Mieczysław Kuczyński, brat mojej matki, którego losy sprzęgły się później z ojcem. I znowu przez kilka tygodni nie mieliśmy żadnych wiadomości. Dopiero chyba w grudniu przyszedł list adresowany z obozu jenieckiego w Kozielsku. Oto jego treść:

Kozielsk ,22.XI.39 r.

Moja najdroższa!

Spieszę zawiadomić, że my tu ze Sławkiem jesteście cali, żywi i zdrowi. Jedynie tylko nadchodząca zima daje się we znaki, a ja nie wzięłem ciepłej bielizny. Jeżeli masz możliwość i dowiesz się, że można wysłać - to przyslij coś gorszego. Jestem ogromnie niespokojny z czego Wy żyjecie. Napisz mi o tym natychmiast krótko. Adres swój podaję na końcu. Przypuszczam że jesteście wszyscy zdrowi. Władkowi powiedz, że tata jemu się kłania i życzy z okazji ubiegłych urodzin aby dużo jadł, był zdrow i duży wyrósł. Gdybyś potrzebowała możesz aparat fotograficzny sprzedać. Również nie żałuj książek. Ale z maszyny, to może jeszcze trzeba będzie żyć, więc dopóki się da oszczędzaj. Ciekaw jestem jak się mają nasi znajomi - napisz krótko i o tym. Tęsknię do Was bardzo. Całuję mocno

-Leonard

Władysławokuz

Mój adres: Leonard Władysławokuz Korowajczik
C.C.C.P. Kozielsk, Smoleńskiej obłasti
Pocztowyj jaszczik Nr 12.

Prawdopodobnie list ten przyszedł w grudniu, oczywiście matka przygotowała paczkę. Były duże ograniczenia, paczka mogła ważyć najwyżej dwa kilogramy cóż można było do takiej paczki włożyć, włożyła oczywiście ciepłą bieliznę, słoninę i cebulę. Drugą taką paczkę przygotowała i wysłała razem dla swego brata Mieczysława Kuczyńskiego potocznie zwanego w domu Sławkiem. Święta Bożego Narodzenia upłynęły w smutku. 19 Stycznia 1940 roku nastąpiło ważne wydarzenie w życiu rodziny. Urodził się mój młodszy brat Wojciech. Po wielu tygodniach przysłała z Kozielska następna kartka pisana po rosyjsku, ojciec znał dobrze ten język, ponieważ początkowo, urodziwszy się na Sybrii uczył się w szkołach rosyjskich i prawdopodobnie w obozie służył w wielu wypadkach za tłumacza. Oto treść tej kartki tłumaczonej na język polski, ponieważ tłumaczenie to wykonał niezawodowy literat są tam pewne niedoróbki stylistyczne:

Kozielsk 19.2.40

Moja Kochana!

Otrzymałem Twoją kartkę i bardzo się ucieszyłem. Bardzo niepokoiłem się, czy jesteś zdrowa. Nie napisałaś mi kiedy urodził się nasz syn, no mnie zdawało się, że ok. 19-20 stycznia, to w takich dniach czułem się bardzo zaniepokojony. Teraz już jestem szczęśliwy, że wszystko przeszło pomyślnie. ze swojego syna. A przecież Ty, Kochana, tak oczekiwałaś córeczki. No nie, jeszcze wszystko przed nami, będzie i córeczka ...

Jeślibym jeszcze mógł wiedzieć, z jakich Ty środków żyjesz, jak Ty walczysz ze swoim losem - i jeślibym wiedział, że masz choć trochę jakichś groszy na kawałek chleba - to już byłbym zupełnie spokojny. Pisz częściej - bo kartki mogą czasem ginąć. Muszę jaknajwięcej wiedzieć, co robisz i jak czuje się nasz syn. Nie wiem, co stało się z moimi siostrami. Co stało się z moimi rzeczami u Twojego brata. Napisz, jak chcesz nazwać naszego synka, - przecież ja może w tej sprawie mogę coś powiedzieć!

A naszemu Władkowi powiedz, że pozdrawiam jego i jego braciśka - niech on pomaga mamie jego nieńczyć. A jak jego tata przyjedzie, to razem będziemy bawić się i śmiać się z małego wrzesku-
na. Przy najbliższej okazji napiszę znów, no Ty, Kochana, nie czekaj na mój list, a pisz częściej - no czy masz Ty pieniądze na znaczki? I ~~ciężko~~ się i smutno mi, że nie widzę Was wszystkich. Mocno Ciebie całuję, moja droga i Kochana. Pozdrowienia rodzinie i znajomym.

Leonard

Litwa
m. Wilno
ul. Wiwulskiego nr 6, m10
Halina Korowajczyk

Nadawca
Leonard Korowajczyk
m. Kozielsk
obł. Smoleńska
Skrzynka poczt. nr 12

To była ostatnia wiadomość, więcej listów z Kozielska nie doszła do nas.

Pamiętam taki dzień, to był przełom zimy i wiosny. Na podwórzu leżały sterty topniejącego śniegu, czy to był kwiecień? - trudno mi teraz powiedzieć, ponieważ wiosna na wileńszczyźnie zawsze przychodziła z pewnym opóźnieniem. Dzwonek do drzwi i przyszedł listonosz przynoszący zwrot paczek, które zostały wysłane i do ojca i do wuja Mieczysława. To były te same paczki, które przed Bożym Narodzeniem zawierały ciepłą bieliznę słoninę i cebulę. Adnotacja na paczce jednej i drugiej brzmiała, że takich nie ma, że wyjechali. I to były właściwie ostatnie wiadomości. Minęło kilka lat, przyszedł kwiecień 1943 roku, w niemieckich godzinówkach zaczęły pojawiać się długie kolumny nazwisk oficerów polskich, których zwłoki znaleziono w Katyniu. Dokładnie nie pamiętam tamtego momentu, nie miałem w rękę tamtej gazety, zresztą trudno wymagać od dziewięcioletniego dziecka żeby czytywało tego rodzaju pisma. W każdym razie w taki czy inny sposób, matka chyba dowiedziała się, że na listach katyńskich figurowało nazwisko mego ojca i mego wuja. Na tej samej liście znalazło się nazwisko brata mojej babki - Tadeusza Tyszki, który był zawodowym wojskowym, oraz je o zięcia Solanki. W każdym razie z jednej rodziny cztery osoby w mogiłach Katynia. Ale jeszcze była jakaś nadzieja, jeszcze się tliła nadzieja, że może to jest propaganda, że może to jest nieprawda. Pamiętam te noce, kiedy matka długo, długo płakała nie mogąc zasnąć. I właściwie na tym kończyły się jakieś wiadomości. Dalszą część wiadomości pisała historia poprzez jedyne cudownie ocalałego świadka, którym był prof. Stanisław Świaniewicz. Niedługo po wojnie ukazała praca zbiorowa pt "Zbrodnia katyńska". W tejże pracy jako jeden ze świadków początkowo anonimowy, występował prof. Stanisław Świaniewicz, którego dzieje znane są z różnych publikacji. W każdym razie w swojej relacji wspomina, że w dniu 29

kwietnia 1940 roku został załadowany do wagonu, tzw wagonu stołypinowskiego i również w tymże wagonie znalazł się mój ojciec. Na drugi dzień rano pociąg zatrzymał się kilkanaście km na północny zachód od Smoleńska na stacji Gniezdowa. Zaczął się wyładunek więźniów. Ale są to relacje powszechnie znane i dostępne w literaturze. Po wielu latach po wojnie ukazała się druga książka p prof. Stanisława Świaniewicza pt "W cieniu Katynia". Tutaj również w swojej pracy wspomina o ojcu, z którym się zestknął w obozie kozielskim. Ojciec wraz z innym porucznikiem prowadzili tzw gazetę mówioną. Korzystając z nasłuchu szczekaczek obozowych, oraz dostępnej prasy sowieckiej, ~~wykładali więźniom~~ czytając między wierszami, wykładali więźniom aktualną sytuację międzynarodową. Odbywało się to w ogromnej cerkwi, gdzie ukryty oficer, być może był to mój ojciec, z chórów cerkiewnych, donośnym głosem obwieszczał aktualności. W ten sposób właściwie prawie cudem, moje wiadomości o dziejach ojca zostały uzupełnione przez jedynego uratowanego świadka, świadka wydarzeń historycznych. Jak można to inaczej określić, jak nie cud, skoro z 15 tysięcy wymordowanych oficerów ze Starobielska, Ostaszkowa i Kozielska do stacji docelowej oddalonej od miejsca zbrodni o 3 km jechał jedyny uratowany świadek, który do tego znał ojca i w swoich wspomnieniach wspomina o ojcu. Ale nie koniec na przedziwnych zbiegach okoliczności. Niedawno, w tej chwili mamy koniec lutego 1989 roku napisałem esej o ojcu wplatając w jego treść szereg listów z czasów odbywania służby wojskowej we Włodzimierzu Wołyńskim. Po zakończeniu tej pracy ukazał się w styczniowym numerze "Tygodnika Powszechnego" obszerny fragment książki prof Świaniewicza "W cieniu Katyni", chyba pt "Do stacji Gniezdowa", gdzie wymienia nazwisko mego ojca, jako współtowarzysza tego tragicznego transportu. Ale nie koniec na zbiegach okoliczności. Od wielu lat usiłowałem nawiązać kontakt z prof. Świaniewiczem. Jakoś nie mogłem

nie udawało mi się. Nie mogłem natrafić na ślad, jakiś pech, złe faktum zawisło nad tym kontaktem. Na przełomie 88 i 89 roku dowiedziałem się, że syn przyjaciół mojej rodziny wylatuje do Londynu, gdzie mieszka i pracuje. Podałem list z prośbą że może jakimś sposobem dotrze do prof. Świaniewicza, którego osobiście nie znał. Pan Jacek wziął list i wyleciał. I dalsze dzieje właściwie, jak w scenariuszu filmowym. Samolot, którym lecieli uległ uległ jakiejś awarii, czy mieli jakąś przesiadkę we Frankfurcie nad Menem i wysiedli. Jak to zwykle bywa pasażerowie zaczęli sobie nawzajem pomagać, pan Jacek dołączył do jakiejś pani, trochę jej pomagał taszczyć tłumoki, później w oczekiwaniu na przesiadkę samolotową siedzieli w kawiarni pili kawę, rozmawiali. I cóż się okazało, okazało się, że jest to rodzona córka prof. Świaniewicza jadąca do swego ojca. Oczywiście list ten pan Jacek dał i w pierwszych dniach lutego otrzymałem ~~list~~ od prof. Świaniewicza list, który stanowi również jakiś dokument. Trzeba tutaj jednakże wspomnieć, że prof Świaniewicz obecnie ma 89 lat i trzy lata temu przeżył wylew krwi do mózgu, pismo jest niewyraźne i widać w nim pewne błędy, no ale trudno dziwić się w tej sytuacji. Oto list, który też stanowi kawałek historii:

27 stycznia 1989r.

Drogi i Szanowny Panie

Dziękuję bardzo za list z dnia 31.12.1988 Niestety nie mogę Panu wiele napisać o Peńskim Ojcu, bo byliśmy unieszczeni w różnych blokach i bardzo rzadko spotykaliśmy się. Od czasu do czasu urządzone były zebrania poświęcone ostatnim wiadomościom z prasy. Peński Ojciec był jednym z organizatorów tych zebrań oraz jednym z tych co podawali te wiadomości, zajmując miejsce na *chórach*... cerkiewnych tak że zebrani tłumnie więźniowie słyszeli Jego głos lecz nie mogli go widzieć.

Poza tym spotykałem go przypadkowo na podwórzu obozowym.

W jednym z ostatnich dni kwietnia 1940 wieziono nas w tym samym pociągu. Na stacji Gniezdowo wydzielono mnie z tego pociągu i po kilku godzinach przewieziono samochodem do Smoleńska. O ile mogłem zrozumieć głównym powodem tego wydzielenia było zainteresowanie wywiadu sowieckiego moją książką "Polityka Gospodarcza Niemiec Hitlerowskich" i moje kilkakrotne podróże do Niemiec. Chciano mnie zbadać na ten temat.

O ile mogłem zaobserwować Polaków przestano rozstrzeliwać latem 1940 r. Przypuszczam, że w tym czasie nastąpiło pewne pogorszenie stosunków pomiędzy rosyjskimi komunistami, a niemieckimi hitlerowcami, których współpracę ustaliły umowy Ribbentrop-Mołotow w sierpniu i wrześniu 1939 roku.

Pozdrowienia

S. Swianiewicz.

Przytoczmy jeszcze z "Listy katyńskiej" - jeńcy obozów Kozielsk - Ostaszków - Starobielsk zaginieni w Rosji Sowieckiej / opracowanie Adama Moszyńskiego/:

Korowajezyk Leonard, ppor., wizytówki, pocztówki, karta na broń, karta członka Aeroklubu / AM 3892/, ppor /LZK/.

W tejże samej książce, w spisie zamordowanych w Katyniu znalazł się również mój wuj, brat matki Mieczysław Kuczyński, Brat mojej babki porucznik Tadeusz Tyszka, oraz jego zięć Solanko.

Wracam do pierwszego września, dzień wybuchu wojny, ojciec wyjechał z Wilna, z lotniska Porubanek pierwszego, lub drugiego września wieczorem. To było ostatnie nasze widzenie. Z tamtych dni wrześniowych pamiętam naloty na miasto, których na szczęście nie było zbyt dużo, ale jednakże zdarzały się. Słychać było detonacje bomb, słychać było naloty silników samolotów.

towych. Jednocześnie z głośników wystawionych w oknach mieszkań i sklepów ciągle nadawane były komunikaty z Warszawy. Upamiętniło mi się - ...uwaga, uwaga nadchodzi, ko-ma i jakieś cyfry, prawdopodobnie chodziło o jakieś zakodowane instrukcje. Wszystko to było pokryte trzaskami, łomotami, detonacjami bombowymi. Wrzesień był piękny i upalny, słoneczny, to utrwaliło się również w mojej pamięci. Pewnego wieczoru do naszego mieszkania, myśmy mieszkali na parterze, ktoś zapukał. W pierwszej chwili zauważyłem rząd srebrzących się guzików, trochę mnie to wystraszyło, ale później rozpoznałem postać oficera. Okazało się że był to znajomy, przyszedł z hiobową wieścią, że bolszewicy wkroczyli do miasta. ~~Przyszedł~~ Prosił o cywilne ubranie. Cywilne ubranie dostał i wyszedł w ciemną noc, co dalej z nim się stało - nie wiem. W mojej pamięci pierwsza okupacja sowiecka niewiele pozostawiła. Od czasu do czasu przewijali się jacyś bardzo odrażający żołnierze w poszarpanych szynelach jacyś nieogoleni, brudni, cuchnący, właściwie wszystkim - machorką, brudem, jakimiś zapachami, które były dla mnie nie tylko obce ale i odrażające. Po pewnym jednak czasie zniknęli z miasta w ich miejsce pojawili się Litwini. To była istna operetka. Szczególnie utrwaliła mi się w pamięci postawa policjantów litewskich. Prawdopodobnie z całego trzymilionowego narodu wybrano najwyższych i najroślejszych chłopów. Byli to rzeczywiście wielcy mężczyźni, wzrost jeszcze był podwyższony wysokimi butami przypominającymi czasy napoleońskie, na wysokich obcasach z cholewami sięgającymi powyżej kolan. Spodnie mieli z czerwonymi lampasami, natomiast kurtki były pełne złotych guzików galonów szamerunków, nie wiadomo, czy więcej było granatowego płótna mundurowego, czy więcej było tego złota. Naramienniki również ~~były~~ przypominały czasy napoleońskie, były złote z kapiącymi frendzlami złotymi. Na głowie mieli bardzo wysokie czapy, z jeszcze wyższym złotym pióropuszem. Ręce ubrane w białe rękawiczki, uzbrojeni byli w wielkie pały. Budzili właściwie śmiech

choć byli groźni. Zнали doskonale język polski i rozumieli słowa polskie ale na każde pytanie zadawane im po polsku odpowiadali, że nie rozumieją. Wesoły naród polski nazwał ich natychmiast kałakutas. Kałakutas, słowo brzmiące dwuznacznie, po litewsku znaczy indor. I rzeczywiście ich postawa przypominała pyszniące się indory. Z drugiej strony byli bardzo agresywni w stosunku do Polaków. Widziałem taki moment, kiedy ulicą szedł w mundurku uczniowskim kilkunastoletni chłopak, Litwin do niego dopadł, policjant oczywiście i z ~~W~~wściekłością odrywał guziki od jego munduru szkolnego. Na zakończenie jeszcze przyłożył chłopakowi pałą. Ci policjanci maltretowali Polaków, ponieważ głód się robił w mieście, kolejki, których przed wojną się nie znało ustawiały się przy piekarniach, czy przy sklepach. Często rozganiali oni tych biednych, zmęczonych, wygłodzonych Polaków. Drugą charakterystyczną falą litewską byli faceci w dziwnych kaszkietach na głowie, w jodełkowych kapotach, o czerwonych twarzach, w wysokich butach z cholewami. Robiło to też dość pocieszne wrażenie. Jednocześnie jak wspomniałem wcześniej matka pracowała w szkole "Promień". Szkoła "Promień" istniała jeszcze przez jakiś czas, ale została zamknięta. Kiedy to nastąpiło trudno jest mi powiedzieć, sądzę, że mogło to nastąpić późną jesienią, bądź zimą. Przez pewien czas matka nie mogła otrzymać żadnej pracy. Zwracała się do różnych biur pośrednictwa pracy i zaoferowano absolwentce Uniwersytetu Stefana Batorego bardzo honorową posadę zaniatacza gówierek końskich na rynku. Nie mając z czego żyć musiała podjąć to zatrudnienie. Później pracowała w sklepie i wykonywała inne prace fizyczne. Muszę tutaj wspomnieć o tym, że sytuacja domowa była trudna, i dlatego, że byliśmy bez środków do życia, niewiele można było sprzedać, na utrzymaniu był siedmdziesięciokilkuletni dziadek i nowonarodzony w styczniu mój brat Wojciech no i ja.

W tych trudnych warunkach jakoś się przetrwało do lata, do późnej wiosny 1940 roku raczej. Do tego czasu mieszkaliśmy w bardzo podobnym czterpokojowym mieszkaniu przy ul. Wiwulskiego 6 m 10. Na rozkaz Litwinów, którym się ten dom bardzo podobał zostaliśmy w bardzo krótkim czasie wyrzuceni na peryferie miasta do domu bardzo zimnego, bez kanalizacji, bez wody, bez żadnych wygód. W tym mieszkaniu mieszkaliśmy przez kilka miesięcy aż ponownie się przeprowadziliśmy. Ale wracam do poprzednich relacji. Na początku lata zachorowałem na szkarlatynę. Do tej pory wszechwładnie królowała w Wilnie flaga litewska, żółto-zielono-czerwona, po ulicach krążyli litewscy policjanci, których opis zamieściłem powyżej, po mieście krążyło dumnie wojsko litewskie, dość marnej postawy, bo tych najlepszych wzięli do policji, ze śmiesznymi czapkami, bo przypominającymi czapki dżokejskie i z pogoniami - herbem Litwy na czapkach. W czasie mojej choroby przebywałem w szpitalu zakaźnym przez sześć tygodni nastąpiło tzw referendum i przyłączenie Litwy do Związku Sowieckiego. Pamiętam mały, drobny, być może nieistotny fakt, ale tym niemniej charakterystyczny. Pielęgniarka, która się mną zajmowała, płacząc przesywała płachtę, jako sztandar nowej władzy. Jeżeli chodzi o warunki materialne, to przyniosła ~~ona~~ ona pewną poprawę, bo matka dostała pracę w gimnazjum polskim, tak że nie musiała się zajmować pracą fizyczną. Pracując tam, chyba nie najgorzej zarabiała, tak więc starczyło nam na dostatek chociaż skromne utrzymanie. Poza tym, że warunki bytowe nieco się poprawiły, zawisła nad nami nowa groźba. Ciągłe się słyszało o jakichś aresztowaniach, nie były to masowe aresztowania, raczej były pojedyncze tym niemniej dosyć często spotykało się z faktem, że tego czy owego znajomego aresztowano i zniknął bez śladu. Na ulicach pojawili się zamiast kałakutas zwarte dosyć szeregi NKWDzistów w granatowych mundurach. Musieli przechodzić ostrą zaprawę, pamiętam taki fakt, że w siarczysty mróz jedynie w długich butach i granatowych bry-

czesach rozebrani do połowy biegiem wykonywali jakieś ćwiczenia. Widocznie chodziło o jakieś zahartowanie. Jednocześnie dokoła narastała inna groźba, groźba konfidentów. Pamiętam też taki wypadek, kiedy matka skarżyła się memu dziadkowi, a swemu ojcu, że w szkole pojawił się jakiś konfident i bała się, że ona zostanie również zmuszona do tej nikczemnej funkcji. Jakoś udało się tej sytuacji uniknąć. W styczniu 1941 roku pod naporem trudnej sytuacji, skomplikowanych warunków, zagrażającego niebezpieczeństwa oraz braku wiadomości od syna i zięcia zmarł mój dziadek w wieku siedemdziesięciu kilku lat. Jednocześnie na terenie Wilna zaczęły się pojawiać jakieś grupki samokształceniowe, coś w rodzaju tajnych kompletów. Jak już wspominałem były gimnazja polskie, ale zapewne, na tych grupkach samokształceniowych chodziło o rozszerzenie wiedzy w zakresie języka polskiego, literatury, kultury polskiej, historii, tych elementów, które tak istotną rolę odgrywają w kształtowaniu charakteru narodowego. Znowu przenieśliśmy się z tych tragicznych warunków mieszkaniowych do domu przy ul. Pohulanka 46. W czerwcu 1941 roku narastała nowa groźba, tragiczna groźba zaczęła się fala wywozek do Kazachstanu. Siedząc na balkonie przy ul. Pohulanka obserwowałem przejeżdżające co chwila ciężarówki, na których stali sowieccy żołnierze i grupki ludzi z tobołkami, zgnębionych, zapłakanych jadących w nieznanym kierunku. Odwozili ich na dworzec kolejowy, a stamtąd do Kazachstanu. Myśmy również byli przygotowani na ewentualną wywózkę, toboły były zapakowane. Nie wiem, czy to było rozsądne, bo wieść niesła, że najlepszym uchronieniem przed wywózką jest ukrycie się w jakimś miejscu na dwa, trzy dni, ponieważ technika samej wywózki wyglądała tak, że NKWD wywoziło dom po domu ulica po ulicy. Jak już oni przeszli przez dom i nie zagarnęli ludzi to można było uratować się. Czy tak było istotnie, trudno mi powiedzieć, powtarzam te wiadomości, które krążyły

wśród ludzi. W każdym razie groźba wywózek sowieckich do Kazachstanu narastała. Kazachstan był hasłem, które budziło trwogę. I tak pewnego brzasku, nad ranem rozległy się wycia silników samolotowych, ryk motorów i detonacja bomb. Przerazeni zlecieliśmy do piwnicy w której przesiedzieliśmy długie długie godziny, może były to dwie noce i jeden dzień? Czas był groźny, co chwila nadlatywały samoloty falami, praktycznie nie było przerw między nalotami. Gwizd bomby oczekiwanie że cały strop się zawali, łomot i na szczęście nie w nas. Jak ludzie byli spanikowani, niech świadczy fakt, brat który miał półtora roku i w piwnicy zatłoczony ludźmi, oświetlonej migającą świeczką - wrzeszczał, może ze strachu, może z nudów a rozhisteryzowane baby warczały szeptem - uciszyć, tego dziecka, bo usłyszą. Chodziło o to, że piloci niemieccy mogą usłyszeć i właśnie robną bombę właśnie w nas. Po iluś tam godzinach, czy dniach - trudno mi powiedzieć i przeprowadził nas kilka ulic dalej, na peryferie miasta blisko zakrętu na ulicę Rzeczną. I stamtąd okazało się, że te naloty nie są takie tragiczne, że samoloty owszem latają, warczą, ryczą, ale bomby spadają gdzieś dalej i tam nastąpiło uspokojenie. Zresztą w bardzo krótkim czasie wkroczyła do miasta armia niemiecka, Zakurzeni, potężni żołnierze, czołgi, auta pancerne masa samochodów różnej wielkości - wszystko to się tłoczyło w niedalekim sąsiedztwie od naszego domu. Bo ulica Pohulanka była to ulica wylotowa w kierunku szosy warszawskiej. W pierwszej chwili wkroczenie Niemców przyjęliśmy z pewną ulgą. Kazachstan przestał nam zagrażać. Ale doniesienie z tzw Generalnej Guberni mówiły o innych niebezpieczeństwach. Z niepokojem oczekiwaliśmy co przyniesie ta nowa, któraś to już z rzędu okupacja. Bo przecież musimy policzyć : najpierw, krótkotrwała okupacja sowiecka, później okupacja litewska, później okupacja dłuższa już sowiecka teraz znów okupacja niemiecka. Zaczęły się bardzo trudne dni. Rzeczywiście odczuwało się

głód, pamiętam kiedy czasami za jedyne pożywienie służyły suhary robaczywe do tego popijane czarną zbożową kawą. Obiady otrzymywaliśmy z punktu zorganizowanego przez organizację podziemną były to obiady darmowe. Pamiętam do dzisiejszego dnia, że zupa to były przeważnie żurek i jeśli zawierał kartofle, to się nazywała kartoflanka, jeśli zawierał kapustę, to się nazywał kapuśniak itd itd. Matka za jedyne źródło dochodów w tym okresie przyjęła tajne nauczanie. Wiele tych lekcji było, wiedziałem, że chodziła na tajne komplety, że je prowadzi, ale oczywiście nie wiedziałem gdzie i co. Stawką po pewnym czasie ustaliła się w wysokości ówierć kg słoniny, lub masła miesięcznie od ucznia. Chyba to były dosyć śmieszne stawki. W jesienią 1941 roku ja poszedłem na tajne komplety uczniowskie. Były one prowadzone przez matkę, i do ostatnich dni pobytu w Wilnie uczyłem się. Pierwsza nasza grupa była zorganizowana w liczbie 6 może 8 uczniów z kręgów znajomych i przyjaciół moich rówieśników. Program jaki przerabialiśmy na tajnych kompletach odpowiadał na pewno programowi, który obowiązywał w przedwojennej szkole powszechnej. Uczyliśmy się z elementarza Falskiego, podręcznika rachunków Rusieckiego, w II, czy III klasie była czytanka pt "Bądźmy lepsi i mądrzejsi" itd itd. Z podręcznikami nie było kłopotów, w antykwariacie kupowało się komplet podręczników dla wszystkich uczniów, następnie z pietyzmem szanowaliśmy te książki, by pod koniec roku niewiele tylko podniszczone znów odsprzedawać do antykwariatu, by następne pokolenie uczniów miało z czego korzystać. Tak, to były bardzo trudne czasy, głodne, biedne można je w ten sposób podsunować. W 1943 jak grom z jasnego nieba pojawiły się komunikaty niemieckie o zbrodni katyńskiej. Matka przyjęła je z mieszanym uczuciem wierząc, lub nie wierząc Niemcom. Ale jeszcze się łudziła, że może to jest tylko propaganda, a jej mąż a mój ojciec gdzieś żyje. Niestety późniejsza prawda

okazała się tragiczna. Okupacja niemiecka w Wilnie, choć była groźna i tragiczna przebiegała w sposób chyba łagodniejszy, niż w Warszawie. Oczywiście warszawską okupację znam z literatury ale to co się czyta i słyszy wyglądało znacznie gorzej. W Wilnie było stosunkowo łagodniej. Oczywiście gestapo szalało, w Ponarach wileńskich rozstrzeliwano polskich patriotów, działaczy podziemia, rozstrzeliwano masowo Żydów, podobnie zginęło tam ok. sto tysięcy ludzi. Do naszego mieszkania przyjeżdżała z Warszawy łączniczka podziemia, o czym oczywiście doskonale wiedziałem, ale życie nauczyło mnie już, małego dziecka konspiracji i takie wiadomości zachowywałem wyłącznie dla siebie.

- Była to oczywiście łączniczka Armii Krajowej ?

- Prawdopodobnie, bo innych organizacji podziemnych praktycznie nie było. Była to zresztą nasza daleka krewna. Niestety w pewnym momencie była jakaś wyspa, choć nie w naszym mieszkaniu i została aresztowana, torturowana w gestapo i bijąc się, że zdradzi swoje powiązania i kontakty, popełniła w lochach gestapo samobójstwo. Takich przypadków było bardzo dużo choć obiektywnie trzeba przyznać, że raczej Niemcy uderzali w określonych ludzi powiązanych ściśle z podziemiem. Pamiętam taki wypadek, że po zamachu na jakiegoś dygnitarza niemieckiego, wykonano wyrok w Cilętniku, wyrok na 10 zakładników których powieszono. Była to głośna i tragiczna sprawa wileńska. Jeżeli chodzi o mnie, to byłem za mały by uczestniczyć w ruchu podziemnym, chociaż byłem w jakiś sposób do niego wciągany nie zdając sobie zresztą bardzo sprawy z tego faktu. Mój kolega był w harcerstwie o czym wiedziałem tylko dla siebie, kilka razy polecał mi przenieść koszyk z kartoflami pod różne adresy mówiąc, żeby przekazał jakieś tam hasło. Prawdopodobnie pod tymi były jakieś tajne gazetki, tak się domyślam. Innym razem na siarczystym mrozie, a była to

1943 roku, polecono mi liczyć karetki pogotowia, niemieckie sanitarki, które dojeżdżały do szpitala wojskowego znajdującego się przy ul. Zakrętowej róg Sierakowskiego w dawnym budynku uniwersyteckim wydziału lekarskiego. Stałem i liczyłem, a z wnętrza dochodziły przeraźliwe ryki rannych i przemrożonych żołnierzy. Innym razem w jednym z domów w ogródku nastąpiła jakaś wsypa. Te wsypę obserwowaliśmy z innej posesji, ze strychu. Dom otoczyła policja litewska, bardzo ostrożnie atakowała wyglądało to w ten sposób, że w każdy zakamarek rzucali butelki z jakimś wybuchającym, smrodliwym płynem, a następnie wchodziłi do określonego punktu. W ten sposób "zdobywali" każdy odcinek ogrodu metr po metrze, ogród i zabudowania. Myśmy obserwowali tę całą sprawę od tyłu domu, ale jak można było się zorientować od frontu wreszcie wtargnęli do domu, prawdopodobnie znaleźli ukrywających się dwu młodych ludzi, jak opowiadano. Poza tymi dwoma ludźmi zabrano wszystkich mieszkańców domu przeprowadzono dokładną rewizję. Na drugi dzień Andrzej polecił mi, żebym poszedł do tego domu. Ten dom znałem, gdyż chodziłem tam prawie codziennie po kozie mleko. Wziąłem więc butelkę i wtargnąłem do domu, gdzie nikogo nie było. Poleceniem Andrzeja było, bym w jednym z pokoiów sprawdził, czy podłoga nie jest naruszona. Wszedłem tam, w pokoju walały się różne przedmioty, papiery i książki, ale podłoga była w tym rogu cała i nienaruszona. Swoje obserwacje przekazałem Andrzejowi i dalej nie wiedziałem co się dzieje. Sądzę, że była tam ukryta skrytka.

Bardzo przynębiający był widok tysięcy Żydów gnanych ulicami do getta. Funkcje policji taką jak w Centrum Polski stanowili własowcy, czy Łotysze, spełniali nacjonałiści litewscy w mundurach przypominających mundury niemieckie. To oni wykonywali większość wyroków na Żydach, to oni próbowali zwalczać polską partyzantkę z niernym skutkiem. Bardzo szeroko rozpowszechniona, rozeszła się wieść po Wilnie, o wyprawie policji

litewskiej na oddziały partyzanckie. Wiele lat po wojnie dowiedziałem się, że chodziło to o zgrupowanie III Brygady Wileńskiej Szczerbca. Próba ta zakończyła się scną komediową. Polscy partyzanci, była to oczywiście Armia Krajowa - otoczyli Litwinów, rozbroili, zdjęli z nich mundury i buty i odprawiając guziki od gaci puścili luzem i wolno w kierunku Wilna. Eskortowała ich kawaleria partyzancka, prawie do rogatek miasta. Był czerwiec 1944 roku, właściwie w atmosferze wyczuwało się spokój, gdy gruchnęła wieść o inwazji Aliantów na plażę Normandii, ale Normandia była od Wilna odległa. Natomiast Armia Czerwona była znacznie bliżej. Ofensywa czerwcową zaczęła się zbliżać w błyskawicznym tempie. Pierwszym zwiastunen zbliżającego się frontu były codzienne naloty na Wilno. W tym czasie myśmy siedzieli na letnisku w folwarku zwanym Nowosady na zachód od Wilna nad jeziorem zwanym Sałata. Wieczór w wieczór punktualnie o godzinie 21 nadlatywały samoloty sowieckie i bombardowały Wilno. Nasz folwark znajdował się w pobliżu miasta, piechotą zajmowało to półtorej godziny drogi marszu. W prostej linii mogło to być 5 km od miasta, może od centrum trochę więcej, w każdym razie dość nieprzyjemnie i groźnie to wyglądało. W naszym folwarku, gdzie myśmy mieszkali była właściwie linia frontu. Raz poraz pojawiały się oddziały sowieckie, pojawiały się budzące wielkie wzruszenie oddziały partyzanckie, pojawiały się czasem oddziały niemieckie. W bardzo bliskiej odległości od budynku w ciągłym ruchu. W pobliżu drugiej stronie/ ustawiała się bateria sowieckich dział, które ostrzeliwały rzeki Wilii, która też była w pobliżu. Z kolei Niemcy ostrzeliwali tę baterię, a pociski rozrywały się niedaleko naszych zabudowań. Wychodząc na wzgórze w pobliżu wierzy triangulacyjnej widzieliśmy miasto, które pokryte było ogromnymi czarnymi dymami. Raz poraz wybuchał nowy dym i nowy. Obawialiśmy się, że z całego miasta nic nie zostanie. Nad naszymi głowami przela-

tywały ciężkie samoloty niemieckie. Jak się później okazało wiozące zaopatrzenie dla niemieckiej załogi broniącej Wilna. Samoloty leciały tak nisko, że prawie zawadzały skrzydłami o wieżę triangulacyjną. Można było wyraźnie widzieć twarze pilotów kierujących maszynami. Walka o Wilno trwała blisko 10 dni, wreszcie front przewalił się Niemcy cichcem unknęli resztki załogi niemieckiej opuściła miasto i w nocy przemaszerowały właśnie przez Nowosady. Ale to nie był koniec, bo mordercy niemieccy przemykali się właśnie przez te tereny, wiele, wiele dni. Z tamtych czasów utrwaliły mi się śmieszna historia - truskawki. Był głód nie było co jeść, natomiast pola były mocno obsadzone truskawkami, które właśnie dojrzewały Okoliczni chłopci uciekli w lasy, tak że nie miał kto tych truskawek zbierać. Myśmy żywili się praktycznie biorąc samymi truskawkami. Nasze menu, składało się np - zupa truskawkowa, na drugie danie pierogi czy kluski z truskawkami bez cukru, na trzecie był kompot truskawkowy, a jeszcze jeśli ktoś był głodny mógł sobie podjeść truskawek. Zbieranie truskawek. ~~KKK~~ Zbieraniem truskawek zajmowała się dzieciarnia która z wiadrami chodziła pod ostrzałem artyleryjskim, bo nad nami ciągle fruwały samoloty, pociski, jak to na linii frontu bywa. Icodziennie zbieraliśmy całymi wiadrami. Trudno mi powiedzieć ile tego było, ale dziennie kilka wiader dla zaopatrzenia domowników. A nas było 16 osób. ~~KKK~~ Bo do naszych dwóch pokojów wtoczyło się dużo przyjaciół i rodzin zaprzyjaźnionych. Front się przewalił i jeszcze długo, długo słyszeliśmy huk oddalającego się frontu. Doszła nas wieść o Powstaniu Warszawskim. ~~KKK~~ Tu następne przygnębienie, drugi brat matki Władysław /pierwszy był na liście katyńskiej/, był w tym czasie młodym człowiekiem i było prawie pewne, że musiał uczestniczyć w walkach ulicznych Powstania Warszawskiego. Tak się złożyło, nim powstanie wybuchło był na praskim brzegu i nie zdążył na koncentrację. W ten sposób nie brał udziału w

walkach, obserwował wszystko co się działo. Front się przewalał, ale trzeba było z czegoś żyć. Matka poszła do Wilna szukać pracy. Wreszcie znalazła zajęcie w fabryce papierosów. Dni były coraz krótsze, coraz chłodniej. Wreszcie przyjechaliśmy do Wilna do naszego małego pokoiku, zruinowanego. Trzeba się było przenieść do jeszcze mniejszego, który miał szyby i jako tako był zabezpieczony. Matka pracowała dalszym ciągu w fabryce i zgrabiały mi rękoma nanizywała liście tytoniowe, przemarznięte, na sznurki. Byłem tam i widziałem. Jednakże bolszewicy pozwolili na otwarcie polskich szkół i zaczęła pracować w polskim gimnazjum, zdaje się, że gdzieś w okolicach ulicy Wielkiej. Uczyła wg nakazanego przez sowietów programu, ale jak to wyglądało trudno mi powiedzieć. Jednocześnie nasz komplet uczniowski dalej trwał, chociaż coraz bardziej był uszczuplony. Strach przed represjami, które narastały, strach przed szalejącym NKWD, które co rusz słyszało się, że tego lub owego aresztowało, że zgarniało z ulicy, przeprowadzało rewizje spowodowało, że nasza grupka topniała z tygodnia na tydzień i praktycznie rozleciała się w grudniu, może w styczniu? Warunki bytowe były bardzo trudne. Mimo, że matka pracowała w gimnazjum ale z żywnością było kiepsko, nie mieliśmy żadnej rodziny na wsi i żywiliśmy się wyłącznie tym, co dano nam na kartki. Za namową swojej dobrej znajomej ~~xxxxxxxxxxxx~~ ~~xxxxxxxx~~ która zachwalała ten dom, oddała mnie i brata, razem z kartkami żywnościowymi do domu dla dzieci niedożywionych. Cóż to był za dom? Leżał w dobrym urokliwym miejscu za miastem ale było potwornie zimno. Rano w pomieszczeniach woda w misce zamarzała, wyżywienie było straszliwe. Było po prostu głodno. Na śniadanie dostawaliśmy po cienkiej kromce chleba ledwo posmarowanego smalcem chleba i po kubku prawie zimnej kawy, na kolację było prawie to samo. Na obiad była jakaś niemiecka bebelucha, jakaś zupa syntetyczna trudno coś powiedzieć z czego to było. W każdym razie było to obrzydliwe. Wszyscy byliśmy

głodni. Wreszcie nastąpił bunt i zorganizowaliśmy komitet w którym ja uczestniczyłem, zorganizowaliśmy strajk głodowy. Przy wejściu do jadalni stanęły pikiety. Do jadalni wpuszczaliśmy wyłącznie dzieci do szóstego roku życia. Reszta była odsuwana od drzwi, a opornych siłą zmuszaliśmy do odwrotu. ~~XXXX~~ Strajk trwał chyba dwa dni i trudno powiedzieć dlaczego sytuacja rozwinęła się tak, a nie inaczej. Wszystkich nas zwołano do dużej sali bawialnej i nic nie mówiono. Zaczęto wypuszczać przez jedne drzwi pojedyncze osoby, dzieci, które już nie wracały. Nie wiedzieliśmy co się dzieje. W pewnym momencie i mnie wywołano. Wyszedłem, w sąsiednim pokoju za stołem siedziało dwu cywilnych facetów, którzy znakomicie mówili po polsku, idealną polszczyzną. Spytałem się dlaczego strajkowaliśmy. Sprawa była jasna, byliśmy głodni. A co dostawaliśmy do jedzenia zgodnie z prawdą opisywałem całe nasze wyżywienie. Wypuścili i kazali iść do sypialni. Było to NKWD, zrobili porządek dlatego, że od następnego dnia jedzenie poprawiło się, pojawiły się stosy kur i kaczek co prawda były śmierdzące okropnie, ale dla wygłodniałej czeredy dzieciaków była to ogromna frajda. W tym domu było nas ok. 50 osób. Dlaczego matka nas nie mogła zabrać, po prostu oddała kartki i nie miałyby nas czym wyżywić w domu, więc musieliśmy przez ten cały luty siedzieć w tym domu. Od pierwszego marca odebrała nas i zaczęło się gwałtowne pakowanie. Sytuacja wyglądała groźnie. Coraz więcej słyszano się o aresztowaniach, coraz więcej było wywozek coraz więcej ludzi ginęło z ulic i z domów, ślad po nich ginął. Mimo bardzo różnej zimy sytuacja była bardzo gorąca. Ojciec był podporucznikiem rezerwy, był na pewno na czarnej liście, cała nasza rodzina, zagrożenie było bardzo istotne, wobec tego matka za namową przyjaciółki zdecydowała się na szybką repatriację do Polski centralnej. Wydaje się, że słowo repatriacja jest niewłaściwe. Byliśmy po prostu wygnani z ziemi rodzinnej. Bo przecież urodziłem się w Wilnie, podobnie jak brat urodził się

w Wilnie, więc trudno mówić o repatriacji. Byliśmy po prostu wygnani. Do wagonów bydłowych transportu nr 6 a wsiedliśmy w dniu 6 marca. To był bardzo uroczny dzień temperatura spadła poniżej 20 °C. I widok jaki musieliśmy przedstawiać był chyba dość żałosny, na saniach jechały resztki naszych rzeczy. A matka z naszą dwójką szła za saniami. Wtedy nie zdawaliśmy sobie chyba sprawy jaka to była tragedia, jak musieliśmy wyglądać, jak wygnanci. Przyjechaliśmy na stację kolejową, stali podpici, jakieś typy od rewidowania. Chyba czekali na łapówki. Wybrali bowiem części naszej szafy i wyrzucili na śnieg, zostawili tylko dół, od szafy w którym znajdowały się w szufladach zapakowane rzeczy. Natomiast od biurka wzięli blat, zostawiając tuby, które też były załadowane były jakimiś gratami. Jeden z nich był chyba Litwinem, drugi był Białorusinem. Obydwaj niezbyt czysto mówili po polsku. Dojechaliśmy do wagonów, załadowaliśmy się do bydłowego wagonu. Wagon towarowy w którym zamieszkaliśmy na następne trzy tygodnie, był podzielony jakby na cztery części. Każda część była zajmowana przez jedną rodzinę. W sumie było chyba w wagonie 20 osób z gratami z rzeczami. Nas piątka, bo oprócz matki, brata i mnie była jeszcze pani Irena Holsztajnowa z córką. Umieściliśmy się na stosie gratów, na powierzchni odpowiadającej tapczanowi. Spaliśmy w poprzek. Jak wytrzymaliśmy te dwadzieścia dni, trudno dzisiaj powiedzieć. Ogrzewanie stanowił żelazny piecyk na środku wagonu, na którym stale coś gotowano, bo przecież były cztery rodziny, które musiały się wyżywić. Jedyną potrawą, jaką jedliśmy przez cały czas był ciągle gotujący się krupnik. Granicę PRL-u przejechaliśmy bardzo szybko, wieczorem ruszyliśmy, a w nocy ją przekroczyliśmy. Nawet nie zauważyłem, bo przespałem ten moment, rewizja była bardzo powierzchowna, właściwie głównie sprawdzanie dokumentów, jak później się okazało w naszym wagonie ukrył się jakiś młody człowiek, którego nie zauważyłem. Zagroził pistoletem, powiedział że jeśli go wydadzą, użyje

broni. Ukrywając się wśród jakichś kłopotów, przejechał granicę na pierwszym postoju za granicą wyskoczył i gdzieś zginął. Był to prawdopodobnie członek ruchu oporu ścigany przez bolszewickie NKWD. Podróż była tragiczna, jechaliśmy i jechaliśmy, pociąg stawał nigdy nie było wiadomo, czy będzie stał minutę, czy będzie stał dobę. Zwykle stawał w szczerym polu, tylko śnieżna płaszczyzna roztaczała się dookoła. Pierwszą rzeczą na każdym postoju było wyskakiwanie z wagonów i załatwianie pod nimi potrzeb fizjologicznych. Drugą czynnością był bieg do odśnieżnych płotków, chwytanie pierwszego z brzo gu i taszczenie do wagonu. To był środek opałowy. Tak jechaliśmy i nagle zima się skończyła, na dwa czy trzy dni zatrzymaliśmy się w miasteczku Mordy. Tu było wzruszenie, poszliśmy do miasta i poraz pierwszy odczytaliśmy napisy poczta, sklep, wszystko to po polsku. Nie po litewsku, nie po niemiecku, nie po rosyjsku, ale po polsku. Na budynku poczty, poza napisem Poczta, w owalu był orzeł z koroną, a jednocześnie właśnie w tych Mordach wybuchła wiosna. Ze śniegu nie było ani śladu. Gdzieś raptem zniknął, jakby ktoś gdzieś odciął kawał płaszczyzny śnieżnej i zostawił za nami. Dalej jechaliśmy przez Siedlce znów w Siedlcach były długie postoje, dla ratowania sytuacji opałowej demolowaliśmy jakieś wagony wrywając kawałki drewna, desek. Wyjechaliśmy w ten sposób do Lublina. Znów wekslowanie i tak 27 marca wreszcie wyładowaliśmy się w Lublinie i jakimś wozem dotarliśmy do baraków obozu na Majdanku. Tam wszystkich wygnanych, nie repatriantów - wygnanych lokowano. Wyszliśmy, któregoś dnia na miasto i matka została obrabowana ze wszystkich dokładnie dokumentów. Co było robić, za namową księdza w parafii, zostaliśmy z bratem ponownie "ochrzczeni". Kianowicie zostało zgłoszone w Urzędzie Stanu Cywilnego, że jeden i drugi był w dniu wczorajszym ochrzczony i wobec tego chodzi o wpisanie do księgi Urzędu Stanu Cywilnego. W ten sposób prawie jestem święty, dwukrotnie chrzczony. No

i po dwóch prawie dobach przyjechał po nas brat matki, zabrakł nas do Warszawy, przez jakiś czas mieszkaliśmy w Warszawie, ale ponieważ matka nie mogła zdobyć pracy, mimo iż miała masę znajomych z Uniwersytetu Wileńskiego, ambicja nie pozwalała jej zwrócić się do Putramenta, do Jędrychowskiego i całej plejady ujawnionych już komunistów, którzy by na pewno pomogli. Nie mogąc dostać pracy zdecydowała się na przyjazd do Łodzi i tak skończyła się ta nasza rodzinna epopea wojenna.

Tekst autoryzowany
Marek
Wojcylka

ATVIRUKA

TELEFON USPRAWNIA ŻYCIE, ZBLIŻA I PRZYŚPIESZA!

KARTKA POCZTOWA



Adres

WYDAWCA:

г. Ковель
ул. Шевченка # 61.10
Ташча Ковельчук

ОБЩИТАТЕЛЪ

Митрополитъ
Ковельчук

С.С.С.Р.

г. Ковельск
Сувальск. обл.

Толм. Сувал. # 12.
P. P. T. (X-1937) 40.000.000.

Adres

Вілла Сувацька

Вілла

Вірвуськія г.р.

№ 6 - 10.

